



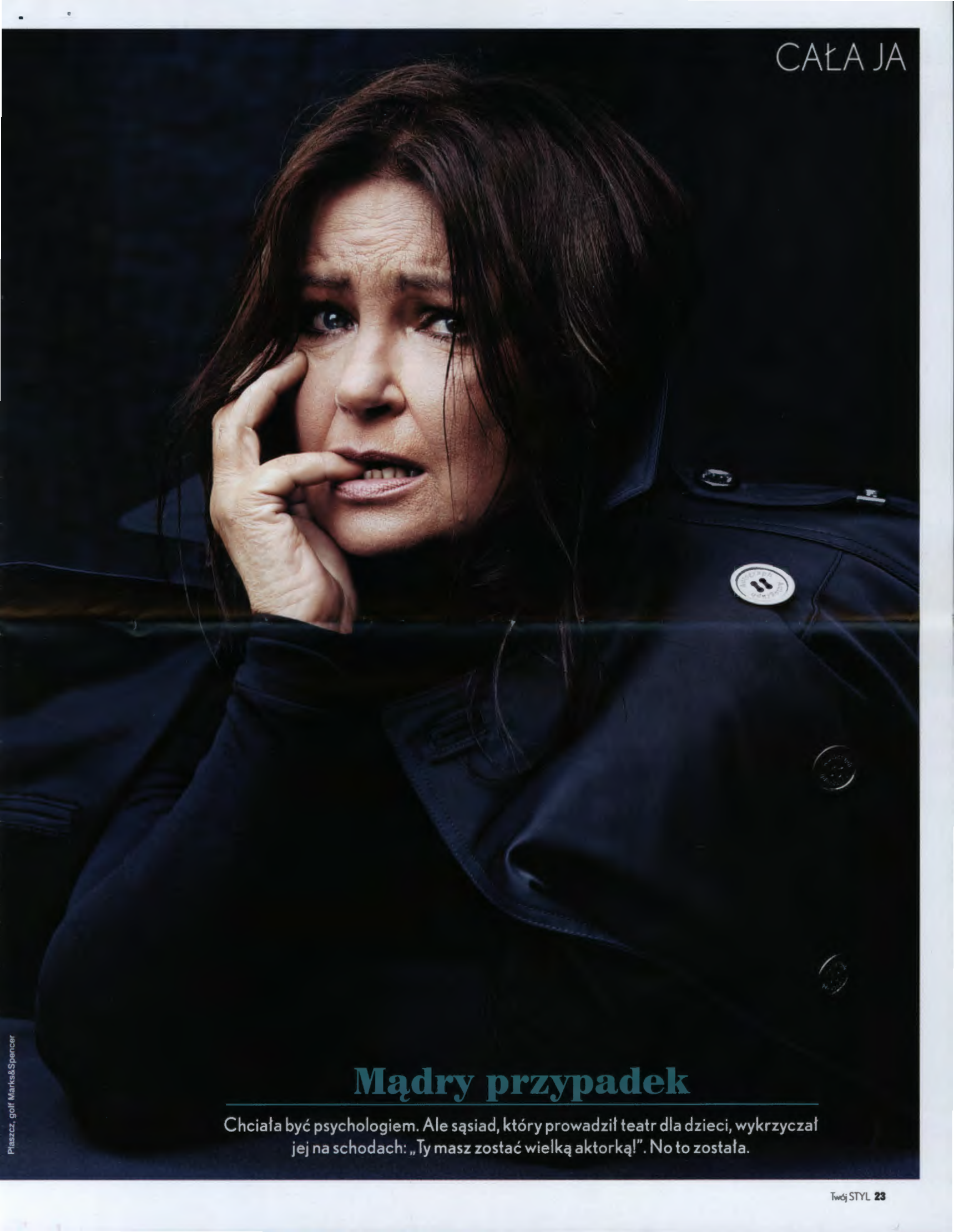
CHCE się ŻYĆ

ROZMAWIAŁA: ANNA JASIŃSKA
ZDJEŃCIA: ZUZA KRAJEWSKA/LAF AM

Czterdzieści lat na scenie, role w filmach, które oglądają kolejne pokolenia, i ani śladu rutyny. Tragiczne doświadczenia osobiste i ani trochę zgorzknienia.

Dzień wypełniony zadaniami od piątej rano do północy i brak oznak zmęczenia.

Anna Dymna w wywiadzie dla „Twojego STYLU” mówi o tym, kiedy bywa kobietą czołgiem, z kim jej się najlepiej klnie i kto składał jej niemoralne propozycje.



Mądry przypadek

Chciała być psychologiem. Ale sąsiad, który prowadził teatr dla dzieci, wykrzyczał jej na schodach: „Ty masz zostać wielką aktorką!”. No to została.

W

yjątkowa osobowość. Piękna kobieta. Człowiek instytucja. Znamy ją od lat, a wciąż intryguje. Angaż do Starego Teatru w Krakowie, z którym do dziś jest związana, dostała

jeszcze przed dyplomem. Niedługo potem została gwiazdą kina. Do Ani Pawlaczki z *Kochaj albo rzuć*, Marysi Wilczurówny ze *Znachora* i hrabianki Klarysy z *Janosika* wdychały kolejne pokolenia mężczyzn. A rozerotyzowane sceny miłosne z serialu *Królowa Bona*, gdzie grała Barbarę Radziwiłłównę, wciąż uznawane są za jedne z najbardziej zmysłowych kadrów w historii polskiego kina. Ale z każdej szuflady, w której usiłowano ją zamknąć, potrafiła się wydostać. Przez lata była śliczną dziewczyną z okładek kolorowych pism, a jednocześnie zachwycała swoimi kreacjami u największych reżyserów: Swinarskiego, Grzegorzewskiego, Jarockiego. Równie przekonująco wypadła w elitarnych spektaklach, jak i popularnych filmach. I nigdy nie zachowywała się jak gwiazda. Lubili z nią pracować wybitni: Wajda, Kutz, Hoffman. A koledzy z teatru i filmu często zostawiali jej bliskimi przyjaciółmi. Wystarczy krótkie spotkanie z Anną Dymną, żeby zrozumieć dlaczego. Jest ujmująca i serdeczna, nawet gdy dzwoni się do niej w najbardziej nieodpowiednim momencie. Jeśli się na coś umówi, dotrzymuje słowa, choćby miała na głowie – jak to zwykle u niej – sto pilnych spraw. A w środku poważnego wywodu potrafi rozśmieszyć żartem... na swój temat. Chce się jej wierzyć, bo nikogo nie udaje.

Twój STYL: Jest Pani wybitną aktorką. Czy nie męczą Pani, że dziś ludzie kojarzą Panią coraz bardziej z „aniołem dobroczynności”, nazywają „Matką Teresą od downów”?

Anna Dymna: Męczą i wkurza, że u nas, gdy ktoś, jak ja, prowadzi fundację dobroczynną, od razu musi być Matką Boską od upośledzonych – jakimś sentymentalnym, lukrowanym bytem. A ja jestem zwyczajną kobietą, czasem może kobietą czołgiem. Denerwuje mnie, zwłaszcza gdy ciągle ktoś mnie pyta: „A po co pani to robi? A co pani z tego ma? Dziecko ma pani upośledzone czy co?”. Robię, bo robię. Widać daje mi to radość i siły. Już tak mam. Budzę się o świcie i cieszę się, bo wciąż jest wiele do zrobienia. W fundacji jest robota od świtu do nocy, jak nie Albertiana, ogólnopolski przegląd twórczości teatralno-muzycznej osób niepełnosprawnych intelektualnie, to Festiwal Zaczarowanej Piosenki, Akademia Odnalezionej Nadziei, podopieczni w Dolinie Słońca, spotkania, wywiady, rozmowy ze sponsorami...

TS: I jeszcze pracuje Pani w Starym Teatrze, uczy w PWST, prowadzi od 11 lat Salon Poezji, gra w filmach.

AD: No, trochę się nazbierało. *(śmiech)* W moim życiu od niepamiętnych czasów nie istnieje takie zjawisko jak wolna niedziela czy luźny dzień. Czasem klnę pod nosem: „No nie, znów jestem umówiona! Znów trzeba gdzieś wyjść, jechać!”. Ale to tylko takie droczenie się ze sobą. Nie wyobrażam sobie, że miałabym z czegoś zrezygnować.

TS: To Pani klnie?

AD: Wszyscy mnie o to ostatnio pytają. To chyba przez Sonię Bohosiewicz, która na okładce książki *Dymna* napisała, że klnę najpiękniej na świecie. Widać słyszała. *(śmiech)* Oczywiście, że czasem klnę, ale nie wszędzie i wtedy, gdy wiem, że nikogo tym nie zranię. Przy mojej mamie nie zaklełam nigdy, bo jakbym w jej obecności powiedziała „kurwa”, toby się bardzo wstydziła. Publicznie też nie klnę, bo komuś mogłabym sprawić przykrość. Ale gdy pracuję z takimi reżyserami jak np. Kazio Kutz, tzw. brzydkie słowa stają się skrótami i kodem porozumiewawczym. Czasem zaklnę też przy studentach. Celowo. Kiedy widzę załknionego dzieciaka, co to wstydzi się wyrazić jakąś emocję, to przypominam sobie, jak kiedyś przekleństwo skutecznie uwalniało mnie od wielu blokad. Zresztą słowa niby-brzydkie, używane w dobrym celu, są więcej warte niż piękne słowa, które wyrażają fałsz. A teraz czeka mnie praca nad rolą w filmie – nie zdradzę tytułu, by nie zapeścić – która pewnie zburzy mój wizerunek „anioła dobroczynności”. Bo kobieta, którą zagram, klnie strasznie i właściwie rzadko kiedy porozumiewa się ze światem innym językiem. To przejmująca rola, trudna i bardzo się z niej cieszę.

TS: Pamiętnych ról zagrała Pani mnóstwo. I w teatrze, i w filmie. Któraś z nich jest dziś dla Pani szczególnie ważna?

AD: Mam ich wiele. Nie wiem, czy umiem opowiedzieć o jednej. Może pewien szczególny sentyment czuję do postaci, którą zagrałam w *Mistrzu i Małgorzacie*. Sama praca nad filmem była pamiętna. Rok '88, komuna się kończy, z powodu grożącej dewaluacji trzeba było kręcić ten film nienormalnie szybko. Zdjęcia trwały dzień i noc, nieomal bez przerw. Na szczęście w tej twórczej malignie pracowałam z fantastycznymi ludźmi: Gustawem Holoubkiem, Zbigniewem Zapasiewiczem, Władysławem Kowalskim, Mariuszem Benoit. Do dziś pamiętam niebywałą atmosferę na planie. A poza tym postać Małgorzaty zawsze była mi bliska. Tak jak ona żyłam z wielkim artystą (Wiesław Dymny, tragicznie zmarły pierwszy mąż aktorki, pisarz, scenarzysta, malarz, legendarna postać artystycznego Krakowa – red.). I też zaprzedałabym duszę, żeby go uratować. Ważnym filmem pozostanie dla mnie też *Pięć i pół bladego Józka*. W latach 60., gdy był kręcony, cenzura wycięła z niego jedną trzecią.

Potem te fragmenty ktoś zniszczył, więc jest to film nieznanym – sama zobaczyłam jego okrojona wersję dopiero w tym roku. Ale na planie poznałam Wieska – napisał do niego scenariusz – więc w jakimś sensie już zawsze będzie to mój film najważniejszy.

TS: Kiedy się Panią pyta o Dymnego, to czasem się Pani denerwuje, a jednocześnie często go Pani wspomina, cytuje.

AD: Bo Wiesio to była miłość, jaka się zdarza raz na milion. I ta miłość ze mną cały czas jest. A denerwuję się, bo jak mówię coś takiego, to potem niektórzy się oburzają: „Jak ty możesz tak ciągle wspominać tego Dymnego?! Przecież Krzysztofowi (Krzysztof Orzechowski, obecny mąż Anny Dymnej – red.) musi być przykro!”. A przecież mężczyzna, który jest ze mną, nie może być głupi. I Krzysztof akurat dobrze rozumie, że bez Dymnego nie byłoby mnie takiej, jaka dziś jestem. A przecież taką mnie kocha.

TS: Co takiego Dymny w Pani ukształtował? Czego nauczył, że „ciągle z Panią jest”?

AD: Wiesiek chyba przede wszystkim nauczył mnie odwagi. Zawsze powtarzał: „Idź do przodu, nie patrz na to, jak cię oceniają. Jesteś, jaka jesteś, i dobrze. Masz być sobą!”. Kiedy się poznaliśmy, byłam już studentką szkoły aktorskiej, ale dopiero wchodziłam w życie. On był o 15 lat starszym ode mnie wolnym, odważnym, utalentowanym człowiekiem, który dusił się w zniewolonym kraju. Cierpiał i, niestety, pił. To nie było życie usłane różami, ale fascynujące. Oboje żyliśmy sztuką, ceniliśmy te same wartości, w pewien sposób byliśmy do siebie podobni – czytaliśmy te same książki, nasze rodziny pochodziły ze Wschodu, nawet nasze mamy miały w sobie jakieś podobieństwo. Dymnemu zawdzięczam na pewno i to, że nigdy nie uderzyła mi do głowy woda sodowa. A przecież było takie ryzyko. Kiedy ma się 20 lat i nagle widzi się swoją twarz na okładkach, można się w tym zgubić. Ale gdy to się w moim życiu działo, miałam obok człowieka, który mi powtarzał: „Liczy się tylko, czy kochasz to, co robisz, i czy w to wierzysz. Jeśli babcia klozetowa kocha swój zawód, to jest tyle samo warta co ty, jeśli kochasz aktorstwo. Nie jesteś nikim więcej”. Mówił mi też: „Aniu, jak ci się uda być znanym człowiekiem, pamiętaj, będą o tobie mówić niestworzone rzeczy, plotkować, oczerniać. Ty nigdy niczego nie dementuj, tylko rób swoje”. Czas pokazał, że wiedział, co mówi. Kiedy ostatnio przeczytałam gdzieś, że „Dymna zbiera na chorych, tyle że sobie buduje pałace, a niepełnosprawnym daje kamyki na szczęście”, to najpierw nogi się pode mną ugięły, ale przypomniałam sobie słowa Wieska i machnęłam ręką.

TS: To prawda, że czytaliście razem na głos Biblię?

AD: I Biblię, i Dostojewskiego, i Szolochowa. Siedzieliśmy razem w łóżku i coś sobie rysowaliśmy – każdy swoje. Wiesiu, który był po ASP, piękne >



Odporna na pokusy

Oświadczali się jej milionerzy, oferowali łatwe życie, kamienice, stadniny.
- Były też nieprzyzwoite propozycje - mówi po latach. - Nie widziałam w tym pokusy.

< obrazki, ja – jakieś potwory. Kiedy kończyłam rysowanie, zazwyczaj czytałam mu książkę, a on rysował dalej. I tak do rana.

TS: Dymny słynął ze zgrabnych powiedzonek. Ma Pani jakieś ulubione?

AD: „Ból to ciul, najważniejsza jest świadomość”. Zrobiło furorę w pewnym szpitalu rehabilitacyjnym, gdzie dochodziłam do siebie po którejś z operacji. Pełno tam było jęczących, uzalających się nad sobą panów po różnych zabiegach, więc zaproponowałam, żebyśmy sobie to hasło napisali na ścianie. I potem, jak ktoś jęczał, to wszyscy krzyknęli: „Ból to ciul!”. I było nam raźniej.

TS: Podobno młodzi z Dymnym niepowtarzalne wesele?

AD: No, ładne było... Tuż przed weselem zmialiliśmy jeszcze wióry z podłogi, bo sami zbiliśmy wielki stół dla gości. Przyjęcie na kilkadziesiąt osób odbyło się na naszym strychu. Głównym programem miała być polędwica wołowa, którą cudem zdobyliśmy w sporych ilościach. Z Urzędu Stanu Cywilnego, gdzie poszłam w króciutkiej spódniczce, długich butach i skórzanej kamizelce, którą uszył mi Wiesiek, wracaliśmy z gośćmi korowodem do domu, śpiewając. Zabawa trwała do rana. Tyle że o mięsie całkiem zapomniałam. A nie mieliśmy lodówki. Rano, gdy wszyscy już poszli, biegałam po całej kamienicy i pytałam sąsiadek: „Nie chce pani trochę polędwicy?”, bo parę godzin później musiałam jechać do NRD, gdzie grałam w filmie.

TS: W NRD szybko stała się Pani gwiazdą nad gwiazdami. Sprzedawano tam pocztówki z Pani zdjęciami, lusterka, plakaty.

AD: Bo oni mieli jakiś problem z niemieckimi aktorkami i ratowali się zagranicznymi. Dostałam stamtąd mnóstwo propozycji, nawet jakiś serial dla mnie napisali, ale ostatecznie zagrałam tylko w czterech enerdowskich filmach. Choć jak na ówczesne czasy, zarabiał się tam ogromne pieniądze, było jasne, że gdybym przyjęła te wszystkie role, musiałabym przerwać szkołę aktorską i odejść z teatru. A to nie wchodziło w grę. Teatr zawsze był dla mnie najważniejszy. Nigdy nie żałowałam, że z różnych „okazji” dla teatru rezygnowałam. Ale dzięki tym enerdowskim filmom nauczyłam się współpracować z kamerą, co bardzo mi później pomogło.

TS: Miała Pani wiele okazji, by ulec pokusie łatwego życia. Sporo mężczyzn się Pani oświadczało – bogatych, wpływowych – w różnych stronach świata. A Pani tej pokusie nie uległa.

AD: No tak, różni proponowali mi kamienice, majątki, stadniny. I co z tego? Miałam dać się kupić, żeby mieć luksusowe życie?! Przecież to by było idiotyczne, poniżające. Nie widziałam w tym żadnej pokusy. Zresztą nie wszyscy się oświadczaali. Dostawałam też listy z mało przyzwoitymi propozycjami. Sporo nawet, ale się nie przejmowałam, bo wiele było adresowanych do Marysi ze *Znachora* czy Ani z *Samych swoich*. Ludziom

ekran myli się z życiem. Gdy grałam w sztuce *Queen Mary* dziewczynę lekkich obyczajów, dostałam list od pana, który, pisząc do mnie już z imienia i nazwiska, wyrażał szacunek dla najstarszego zawodu świata uprawianego – w jego mniemaniu – przeze mnie i proponował rzeczowo, że wynajmie mnie na wspólny wyjazd do Moskwy. Wtedy odbywała się tam olimpiada. Wymieniał hotele, w jakich się zatrzymamy, usługi, jakich ode mnie oczekuje, i stawki, jakie mi oferuje. (*śmiech*)

TS: Teraz gra Pani Inne role, no i jest Pani „aniołem dobroczynności”, więc już pewnie nikt Pani takimi listami nie zadrezcza.

AD: Myli się pani. Mam 63 lata, ale telewizja wciąż puszcza filmy ze mną sprzed lat. Dziewczynka na ekranie mogłaby być moją wnuczką, a ja wciąż dostaję listy od młodych chłopców, zaczynające się od słów: „Widziałem cię, Aneczko, niedawno w *Janosiku*, bardzo mi się spodobałaś, chciałbym się z tobą oświadczyć”. Jak widać, wędruję po czasie, choć zdarzenia z teraźniejszością nie zawsze są przyjemne. Kiedyś pijany facet na ulicy Floriańskiej spojrział na mnie i mówi: „O, kurwa, pani Dymna?!”. Ja na to: „Tak, a co się panu stało?”. A on do mnie taki wściekły: „A cóż ty wczoraj w nocy robiła?! Ja żem cię wieczorem widział w *Janosiku*, takaś była piękna! A dziś patrz, jak wyglądasz!”. Tłumaczyłam, że to było 40 lat temu, ale tylko go jeszcze rozsierdziłam. To jest i śmieszne, i straszne. Taka szczerokość gdzieś tam jednak dotyka, boli. Mówię czasem, że w moim przypadku trzeba mieć odwagę cywilną, żeby po tysięcznej emisji *Znachora* czy *Samych swoich* wyjść na ulicę po zakupy.

TS: Myśli Pani czasem, jak by wyglądało Pani życie, gdyby Pani nie została aktorką, tylko psychologiem? Wyczytałam w Pani biografii, że taki miała Pani plan na życie jeszcze po maturze?

AD: Chciałam zostać psychologiem klinicznym, pracować z dziećmi, które sprawiają kłopoty, i z ludźmi, którzy mają ze sobą i życiem problemy. Złożyłam już nawet papiery na psychologię. Ale wszystko zmieniło to, że w naszej kamienicy mieszkał niezwykle człowiek, aktor Jan Niwiński. Prowadził teatr dla dzieci i młodzieży. Miałam chyba dziesięć lat, gdy zagadnął mnie na korytarzu i zaprosił do swojego teatrzyku. Zagrałam u niego sporo ról. Tylko że uważałam to za zabawę. W życiu nie myślałam, że będę aktorką. Nie wyobrażałam sobie, że miałabym całe życie stać na scenie, a ludzie mieliby się na mnie gapić i jeszcze oceniać. No ale gdy pan Jan dowiedział się, że zamierzam zdawać na psychologię, zdybał mnie na schodach i zaczął krzyknąć: „Co ty sobie myślisz! Ty masz zostać wielką aktorką, a nie psychologiem! Psychologiem to może być każdy!”. I kazał mi zdawać do PWST. Złożyłam więc papiery i na aktorstwo, i na psychologię.

TS: Rodzice się nie sprzeciwiali? Tata inżynier lotnik, mama ekonomistka. Nie chcieli, żeby Pani zdobyła jakiś „konkretny zawód”?

AD: Chcieli, ale jak się okazało, że przyjęli mnie do szkoły teatralnej i że wobec tego już na egzaminie na psychologię nie poszłam, zaakceptowali mój wybór. Oboje często powtarzali, że choćby nie wiem co, nie wolno się sprzeniewierzyć własnym marzeniom i przekonaniom. I byli tu konsekwentni. Dobrze się stało, bo ja swój zawód bardzo kocham.

TS: A za co go Pani kocha najbardziej?

AD: Dla mnie teatr to najgenialniejszy lek na problemy. Gdy jest się aktorem z prawdziwego zdarzenia, to choćby nie wiem co się działo w życiu, wieczorem trzeba pojawić się w teatrze i zagrać. Skoncentrować się na roli, zapomnieć o swoich problemach. Przez całe życie chodziłam wieczorami do najlepszego gabinetu psychoterapii, jaki można sobie wyobrazić. W teatrze miałam świat ekstremalnych emocji, ale nad którymi panowałam. A na koniec czekały mnie jeszcze oklaski. To jakoś porządkowało mój świat, nawet w najtrudniejszych chwilach.

TS: Niektórzy aktorzy twierdzą, że przenoszą trudne emocje z teatru czy filmu w życie, że one im raczej zaburzają psychikę, niż harmonizują.

AD: A ja mam tak, że gdy jestem na scenie Klitajmestrą, morduję męża, kochanka i biegam z siekierą cała we krwi, to mój mąż ma potem w domu cudowny spokój. Wracam łagodna, potulna i tak wyczerpana, że na żaden spór nie mam ochoty. Aktorstwo pomagało mi zresztą w życiu na różne sposoby. Od czterdziestu lat gram w Starym Teatrze, o którym się mówiło, że jest najlepszą sceną w Polsce. Wielu wybitnych ludzi, z którymi tam pracowałam, było też moimi przyjaciółmi. Kiedy działy się u mnie różne trudne rzeczy, zawsze byli przy mnie i zajmowali się mną w piękny sposób. Poza tym w teatrze dostawałam ważne role i czułam, że nie mogę nawalić, nawet gdy było mi źle, bo przecież współtworzyłam tam coś istotnego. Tajemnica polega na tym, by czuć, że jest się komuś potrzebnym. Wtedy człowiek, choćby nie wiem co, zawsze znajdzie siły, żeby sobie poradzić ze wszystkim. Najgorzej, kiedy ktoś się budzi rano i nikogo nie obchodzi, że się obudził. To jest prawdziwe nieszczęście, nie choroby, brak pieniędzy czy inne sprawy, których ludzie tak się boją.

TS: Pani nie miała takiej chwili w życiu, że nie wiedziała, po co żyje?

AD: Kiedy przed laty spłonął mój dom, a wkrótce potem po zaledwie sześciu latach małżeństwa, nagle zmarł Wiesiek, wydawało mi się, że moje życie też powinno się skończyć. Grunt usunął mi się spod nóg. I wtedy zdarzyło się coś, co już na zawsze wyzwoliło mnie od podobnych myśli. W drodze z Krakowa do Budapesztu, gdzie nocą jechałam z tłumaczem na plan filmu *Rapsodia węgierska*, zasnął kierowca. Samochód wjechał w drzewo. Ja w ciężkim stanie, z uszkodzonym kręgosłupem, wstrząśnięciem mózgu >



Na kłopoty – teatr

Grała eteryczne piękności i herod-baby. Nawet gdy walił się jej osobisty świat, zjawiała się na scenie. – Przez całe życie chodziłam do najlepszego gabinetu psychoterapii – żartuje.

< i mnóstwem innych obrazów znalazłam się w szpitalu. Pamiętam, że gdy po długiej nieprzytomności w strasznym bólu otworzyłam wreszcie oczy, moja pierwsza myśl była taka: „Jak to dobrze, że jestem”. W jakimś sensie ten wypadek uratował mi życie, choć mocno pokiereszował ciało. Dotarło do mnie wtedy, jak bardzo, mimo tych wszystkich nieszczęść, chce mi się żyć. I to uczucie już mi potem towarzyszyło zawsze. A dziś chce mi się żyć jak nie wiem co! Teraz, jeśli się o coś martwię, to tylko o to, żeby mi starczyło jak najdłużej sił dla moich podopiecznych. Mam mnóstwo spraw, które chciałabym jeszcze dla nich załatwić.

TS: Jan Englert powiedział kiedyś, że Annę Dymną wyróżnia spośród innych ludzi nieprawdopodobna siła. Czytając Pani biografie, miałam to samo wrażenie. W krótkim czasie przeżyła Pani tyle osobistych tragedii i nie jeden poważny wypadek samochodowy, lecz cztery. Groziła Pani nawet rentą inwalidzka. I Pani potrafiła się z tego wszystkiego podnieść i jeszcze pomagać innym. Skąd ta siła?

AD: Przywołuje pani te różne trudne sprawy z mojego życia, a ja sobie myślę, że tak naprawdę jestem i zawsze byłam wielką szczęściarą, bo spotykałam na swojej drodze wspaniałych ludzi, którzy mnie nauczyli cenić życie. Korzenie tego są pewnie też gdzieś w dzieciństwie. Moi rodzice mieli taką umiejętność, że potrafili zachwycać się prostymi sprawami. Jak pisał ksiądz Twardowski: „Od małych rzeczy naucz się spokoju”. Mamę zaciekał kwiatek przy drodze, cieszyła się tym, że słońce na chwilę wyszło zza chmury. I to nie była egzaltacja, tylko uważność na różne piękne, choć pozornie nieistotne zjawiska wokół. I ja też tak mam. Patrę, jak kot szaleje, i już się uśmiecham, choćby nawet chwilę temu coś mnie zdenerwowało. A poza tym napatrzyłam się na wielu chorych ludzi, którzy mają w sobie tyle radości, że wstyd byłoby mi na coś narzekać.

TS: Napisała Pani kiedyś o sobie „jestem czarownicą”. Co chciała Pani przez to powiedzieć?

AD: Od wielu już lat dostaję listy od chorych, umierających, ludzi w beznadziejnych sytuacjach zaczynające się od słów: „Tylko pani może mi pomóc”. Chcę pomóc, ale nie mam takiej mocy. Często najlepsi lekarze jej nie mają, a tym bardziej ja. Jedyne, co mogę, to zaczarować czas, który tym ludziom pozostał. Jakimś cudem sprawić, żeby się jednak uśmiechali – mimo wszystko. I jeśli mi się czasem udaje, to czuję się wtedy trochę czarownicą.

TS: Pani największe zwycięstwo?

AD: Że taki człowiek jak Janusz Świtaj żyje, pracuje i studiuje – zaczyna drugi rok psychologii. A to jest sparaliżowany od 20 lat chłopak, który oddycha przez respirator. Wydawało mu się, że jest skazany na niebyt, a teraz znów chce mu

się żyć. Albo inny młody chłopak z Poznania, po wypadku. Tak strasznie cierpiał, że prosił o eutanazję. Udało mu się pomóc i pokochał życie na nowo. Dziś podróżuje na wózku po Europie i inspiruje innych. Na dodatek został wolontariuszem hospicjum w Poznaniu. Wiele takich osób pisze do mnie listy o tym, jak bardzo się cieszą, że żyją. Nic z tego nie rozumiem, bo obiektywnie można powiedzieć, że mieli pecha. Ale wiem, że naprawdę kochają życie z całych sił. I uczą mnie tego jak nikt. To, że jestem świadkiem takich cudów i czasem choć trochę się do nich przyczyniam, sprawia, że jestem szczęśliwa.

TS: Słyszałam, że gdy ma Pani załatwić coś dla swoich podopiecznych, to potrafi Pani przekonać do współpracy nawet najbardziej opornych.

AD: Nauczyłam się, że nic na siłę. Jeśli ktoś jest naprawdę oporny, spokojnie mówię: „Rozumiem, dziękuję, może przyjdzie czas, że będzie pan chciał i mógł pomóc”. Ale wiem też, że ludzie naprawdę chcą być dobrzy. Tylko trzeba im stworzyć okoliczności, żeby mogli tę dobroć okazać. I to jest moje

Trochę czarownica

Poznała chłopaka, który prosił o eutanazję. Dzięki niej pokochał życie. Dzisiaj podróżuje na wózku po Europie.

delikatne zadanie. Kiedyś zadzwonił do mnie człowiek i mówi: „Proszę pani, tak mi jest teraz źle, wszystko mi się w życiu zawaliło. Czy mógłbym dać pani fundacji 50 tysięcy, może poczułbym się lepiej i może to moje życie jakoś by się wtedy odczarowało?”. Wzruszył mnie. Zażartowałam, że przecież może dać i milion, żeby podziałało. Dał siedemdziesiąt tysięcy i wszystko się u niego zmieniło. (*śmiech*)

TS: Powinna mu Pani w nagrodę za gest zrobić sweter ze smokiem! To była kiedyś Pani specjalność.

AD: Oj, to dawno było. Na swetry już, niestety, nie mam czasu od lat. Jeden próbowałam zrobić dla syna, kiedy miał trzy latka. Zanim skończyłam, miał już sześć, więc się nie załapał. Wtedy zaczęłam robić dla niego drugi, od razu celowo za duży, żeby tym razem już się wpasował we właściwy rozmiar. Ale syn dobiega trzydziestki, a ja jeszcze tego swetra nie dokończyłam.

TS: A na gotowanie czasem znajduje Pani czas? Podobno świetna z Pani kucharka.

AD: A, na to to oczywiście. Bo gotować uwielbiam. Praktykuję od jedenastego roku życia. Ostatnio zrobiłam przyjęcie dla studentów u mnie w ogrodzie. Przygotowałam bakłażany po ormiańsku i kurę w miodzie i curry. A oni zrobili wspaniałą sałatkę owocową. Bardzo mi było miło. Im chyba też! Mam nadzieję... (*śmiech*)

TS: To studenci mają z Panią dobrze!

AD: Też mam z nimi dobrze. Ta praca to dla mnie szkoła pokory i cierpliwości, ale dzięki niej nie tracę kontaktu z rzeczywistością. Wiem, czym młodzi żyją, z czym się borykają i, Bogu dzięki, nigdy nie mówię: „Za moich czasów to...”, bo dzięki nim żyję w tych czasach.

TS: Rozmawia Pani z nimi tylko o teatrze, czy też np. o tym, że warto być porządnym człowiekiem?

AD: Rozmawiam o wszystkim, choć nie moralizuję. Ciekawi mnie, co oni myślą. A porządnym człowiekiem warto być zawsze, nawet jeśli nie zawsze się to opłaca. Ja sobie myślę tak: znałam wspaniałych ludzi – Miłosz, Szymborska, Swinarski, Bińczycki. Dymny, moja mama. Odeszli, ale wierzę, że są przy mnie i skądś tam na mnie patrzą. A skoro tak, to nie mogę żyć byle jak. Nie mogę robić byle czego, bo co by sobie o mnie pomyśleli?! Staram się więc żyć tak, żeby mogli być ze mnie dumni i to mnie obliguje do tego, by to moje życie było jak najlepsze. Może dlatego wciąż coś robię i zawsze wydaje mi się, że powinnam robić więcej.

TS: Co Pani robi, gdy wszystko jest zrobione?

AD: Nigdy nie jest. Ale jeśli mi się zdarza czas tylko dla siebie, idę do ogrodu i coś tam sadzę, wkopuję. Posadziłam dziesiątki drzewek, choć mój ogród nie jest wielki i brakuje mi miejsca. Ostatnio

dostałam pięknego judaszowca i dumna jestem, bo się przyjął, a to rzadko spotykane w Polsce drzewo. Liście ma w kształcie serc, kwiaty wyrastają mu z pnia. Jednak widać mnie polubił, może dlatego, że ja do swoich drzew gadam.

TS: Bez czego Pani dzień nie może się obejść?

AD: Zawsze jem z mężem i kotem śniadanie. Nie wyobrażam sobie innego początku dnia, to u nas stały rytuał. Ale to, jak to śniadanie wygląda w szczegółach, pozostanie już moją tajemnicą. A w życiu? Chyba nie umiałabym się obejść bez teatru. Dopóki czuję, że mogę się tam do czegoś przydać, chciałabym grać. Mogłabym nawet umrzeć na scenie. Tak, wiem, to jest marzenie prawie każdego aktora, (*śmiech*) ale taka puenta bardzo by mi się podobała. Właśnie zaczynam pracę nad wielką rolą w teatrze i już czuję i radość, i strach... jak zawsze. I jestem szczęśliwa.

Rozmawiała ANNA JASIŃSKA



Dymna autorstwa Elżbiety Baniewicz to nie tylko imponująca historia życia aktorki. W książce można zobaczyć też nieznaną wcześniej fotografie: taniac Pani Ani z Masajami, jej ukochane koty i unikatowe listy, które przychodzą do niej ze wszystkich stron świata.